

W PODMIEJSKIM PARKU

Zima kalendarzowa miała się już ku końcowi, ale ta prawdziwa jakby zapomniała o astrologii i wymyślonych przez ludzi kalendarzach. Mimo, że była to już połowa marca śniegu było w brud, a mróz trzymał równo, w dzień co prawda tylko po kilka stopni, ale w nocy po kilkanaście.

Sezon łowiecki dobiegał już końca i większość kolegów zajęta była konserwowaniem broni. Ale nie ja. Było jeszcze kilka dzików do odstrzału, zbliżała się pełnia no i ten ostatni śnieg. Przecież nie mogłem siedzieć w domu i patrzeć w telewizor. Zwłaszcza, że pod koniec sezonu rozeznanie w łowisku miałem bardzo dobre, co zresztą w tym roku było stosunkowo łatwe, bo obrodził dąb.

Coś mnie jednak kusiło i to zapewne za sprawą Św. Huberta, aby tę pełnię przeznaczyć na dokładne spenetrowanie bardzo trudnego i niezwykle rzadko odwiedzanego fragmentu naszego obwodu.

Lędziny, to wieś praktycznie granicząca z Opolem i właśnie tutaj, pomiędzy wsią i miastem mieliśmy kilka oddziałów lasu w tym dwa, trzy z domieszką dęba, ale za to dęba wiekowego.

Ten niewielki skrawek obwodu ograniczały z dwóch stron zabudowania miasta i wsi, a z trzeciej ruchliwa szosa i ogrodzone ogródki działkowe. Praktycznie, więc zwierzyna miała tylko jedną drogę, aby dostać się do tej części obwodu – przez linię kolejową relacji Opole – Warszawa, która stanowiła równocześnie granicę naszego obwodu.

Aby obraz tej części obwodu był pełen należy jeszcze dodać, to co najważniejsze. Bliskość miasta powodowała, że było to miejsce odpoczynku i rekreacji wielu rodzin a teraz w okresie zimowym sanny i kuligi były codziennością. Trudno było, więc dziwić się moim kolegom, że nie

darzyli tego rewiru szczególnym zainteresowaniem. Zainteresowanie to było tym bardziej mniejsze, ponieważ nie było tu żadnej ambony ani nawet drabiny.

W tym rewirze przydatna była tylko umiejętność podchodu. Pomimo tylu wad tego niewielkiego fragmentu obwodu coś mnie jednak ciągnęło właśnie tam. Najpierw jednak, jak to mam w zwyczaju wyskoczyłem w dzień na rekonesans. To, co zobaczyłem przerosło moje oczekiwania i wyobraźnię, i to z dwóch powodów.

Spacerowiczów, dzieci z sankami i samochodów w lesie było tyle ile na najruchliwszych deptakach, ale co znacznie ważniejsze, dosłownie pod każdym dębem śnieg był przewracany przez dziki. Widać było, że dopiero teraz, pod koniec zimy dziki dotarły za żołędziami pod miasto.

Postanowiłem, że jeszcze tej nocy spróbuję tu zapolować. Z wyjazdem do lasu nie spieszyłem się, bo domyślałem się, że ze względu na duży ruch dziki przychodzą tu później, jest coraz większy mróz i za długo nie da się wytrzymać a aby dojechać tu z domu potrzebowałem nie więcej niż 10 minut. Planowałem, że pojedę około dziesiątej, ale już mnie jednak nosiło i po wysłuchaniu w telewizji dziennika ubrałem się i pojechałem do lasu.

Samochód zaparkowałem na parkingu przy ogródkach działkowych, zmontowałem broń i wyszedłem za szosę, aby sprawdzić wiatr. Uznałem, że jest doskonale – księżyc świecił wspaniale, wiatr miałem idealny i tylko ten kilkustopniowy mróz mógł utrudnić podchód po zmarzniętym śniegu. Ale za moment i ten problem znikł. Dukt tak wyjeżdżony był przez samochody, że mogłem posuwać się bezszelestnie.

Zszedłem z szosy na dukt i nie przeszedłem więcej jak trzydzieści metrów, gdy usłyszałem charakterystyczne szuranie i przewracanie liści. Podniosłem do oczu lornetkę. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów ode mnie, w wysokim drzewostanie dębowym buchtowała wataha kilkunastu dzików. Spokojnie przesunąłem się kilka metrów do najbliższego drzewa, odłożyłem sztucer i przez lornetkę starałem się ustalić jaki jest skład watahy i wybrać dziczka, którego będę strzelał. Było kilka większych i kila mniejszych. Postanowiłem, że nie będę ryzykował i kombinował, bo to już przecież marzec i strzelam do małego. Za chwilę nasz patron posłał celną kulę i po pół godzinie od wyjazdu z domu już byłem po polowaniu.

Miałem satysfakcję z dobrego pomysłu, rozeznania i strzału, ale jakoś nie do końca ta satysfakcja była pełna. Trochę to polowanie odbyło się za szybko i za łatwo.

W swoim Kole Łowieckim miałem wielu sympatycznych kolegów i kilku przyjaciół, Jednym z nich był Janusz, niezwykle sympatyczny i inteligentny doktor nauk technicznych, którego to właśnie ja wciągnąłem do łowiectwa. Myśliwym był już kilka lat, ale wielkich sukcesów jeszcze nie odniósł. Zresztą nie było to jego celem, a łowiectwo uprawiał naprawdę z przyjemnością i bez niezdrowej rywalizacji. Cieszyłem się, że mam takiego wychowanka i tym bardziej starałem się wprowadzać go w coraz ciekawsze arkana sztuki myśliwskiej. Uznałem, że nadarzyła się okazja na kolejny krok – polowanie w zimie z podchodu na dziki. To, czego Janusz już nauczył się to strzał z wolnej ręki a ta umiejętność w takim właśnie polowaniu jest nieodzowna.

Zadzwoiłem.

- Janusz mam propozycję nie do odrzucenia – zacząłem. Jeżeli masz czas to bądź dziś gotów o dwudziestej. Pojedziemy na dziki.

- Będziemy długo? Jest mróz i nie wiem jak ubrać się.

- Z dwie godziny, nie dłużej. Będziemy chodzić, więc ubierz się nie za grubo i wygodnie.

- Cieszę się. O ósmej będę gotowy – zakończył Janusz.

Po drodze do Łowiska, krótko streściłem moje obserwacje i zdarzenia z ostatnich dwóch dni i w sposób uniemożliwiający jakkolwiek sprzeciw zakomunikowałem Januszowi, że to on będzie dziś strzelał, jeśli spotkamy dziki na dębach. Byłem przekonany, że tak będzie. Zależało mi na tym by Janusz strzelił z podchodu dzika, bo takich sukcesów nie miał jeszcze za wiele.

Gdy wyszliśmy z samochodu wokół panowała cudowna zimowa sceneria. Śnieg, mróz

i pełnia księżycy dawały nam optymalne warunki do polowania. Wiatr znów był idealny. Weszliśmy na dukt, Janusz szedł jedna a ja druga koleiną. Co kilka kroków zatrzymywaliśmy się, nasłuchiwali i lornetowali drzewostan. Po kilkunastu minutach i przejściu około stu metrów usłyszeliśmy charakterystyczne szelesty przewracania zmrożonej ściółki. Dziki były gdzieś przed nami po prawej stronie. Zatrzymaliśmy się i czekaliśmy na rozwój sytuacji. Po chwili już wiedzieliśmy, że zbliżają się w naszą stronę. Dałem znać Januszowi, że ma przygotować się do strzału. Odgłosy buchtowania były coraz wyraźniejsze i za moment mogliśmy już obserwować, na bardziej odkrytej części, pięć przelatków. Zawzięcie przewracały ściółkę w poszukiwaniu ostatnich żołądzi i były od nas nie dalej niż pięćdziesiąt kroków. Gestami dałem znać Januszowi, aby nie spieszył się i strzelał jak dziki podejść jeszcze bliżej. Wytrzymał długo, bo strzał oddał nie dalej jak na trzydzieści kroków. Po strzale rozległ się przeraźliwy kwik i wszystkie dziki w szalonym biegu zniknęły w głębi lasu. Janusz stał jak wryty. Odniosłem wrażenie, że jest w lekkim szoku. Przelatka można było trafić przecież kamieniem, a on tylko zakwicział i tyle. Oczywiście obeszliliśmy miejsce strzału i kierunek ucieczki watachy. Nigdzie żadnych śladów farby ani ścinki. Uznaliśmy, że widocznie strzał został zgórowany i to obcierka po chybie spowodowała kwik. Ale to domniemanie bardzo szybko zweryfikowaliśmy po rozładowaniu przez Janusza broni. Z pełną gracją czektor jego drylinga wyrzucił jego łuskę po śrutowej dwójce. I to był już koniec dociekań. Nie wiem tylko dlaczego i za ci Janusz mnie bardzo przeproszał. Tak niestety zbiera się myśliwskie doświadczenia.

Wszystko trwało pół godziny, to nie była przecież „moja” wczorajsza wataha, więc decyzja była krótka – polujemy dalej. Duktem przeszliśmy do granicy naszego obwodu tzn. do toru kolejowego. Widać było dużo świeżych przejść, ale nic nie spotkaliśmy.

Uzgodniliśmy, że ja przesunę się bliżej miasta i równoległymi duktami Janusz i ja wrócimy do szosy i tam zakończymy polowanie.

Pierwsze kilkaset metrów do równoległego duktu przeszedłem dość szybko nie zwracając szczególnej uwagi na chrzęszczący śnieg. Po prostu pomyślałem, że nawet jak coś spłoszę to i tak powinno pójść na Janusza i dopiero gdy doszedłem do mojego duktu zacząłem podchód znacznie ostrożniej. Ostrożniej, bo moją uwagę coraz częściej przykuwały poprzeczne przejścia grubego dzika i świeżo wybuchowane pod dębami głębokie rynny. I w końcu usłyszałem charakterystyczny szelest. Starłem się dostrzec gdzieś charakterystyczną sylwetkę, ale pomiędzy dość bujnym tu podszytem świerkowym nic nie mogłem dostrzec.

Za moment szelest powtórzył się blisko mnie. Naprawdę duży dzik kopał wokół świerka nie dalej niż trzydzieści kroków ode mnie. Teraz musiałem się jeszcze upewnić czy to nie locha, ale nie zdążyłem. Od strony, gdzie poszedł Janusz padł strzał i dzik jak rakietą przesadził linię kilkanaście kroków przede mną. Jak w kadrze filmu zakodowałem tylko, że miał jakąś dziwną sylwetkę. Januszowi powiedziałem później, że wyglądał jak hiena.

Do końca podchodu nic już nie widziałem ani nie słyszałem, ale po prawdzie to moja czujność i skupienie już prysnęły i tylko ciekaw byłem do czego strzelał Janusz i jaki jest tego efekt.

Gdy zeszliśmy się zdał krótka relację ze swojego podchodu. „Moja” wataha jednak przyszła w to samo miejsce, w którym była dzień wcześniej i Janusz tym razem skutecznie wyjął z niej kolejnego przelatka.

Postanowiliśmy szybko, że jutro jedziemy znowu – są dziki, jest pogoda, Hubert darzy to nie ma co kombinować. Tym razem to Janusz miał po mnie przyjechać. Niestety zadzwonił w południe, że sprawy osobiste nie pozwalają mu dziś na wyjazd. Trochę mnie to zmartwiło, ale nie do tego stopnia abym zrezygnował z wyjazdu. Wieczorem zachmurzyło się i lekko popruszyło śniegiem, ale około dziewiątej wieczór księżyc świecił pełnym blaskiem. Pojechałem.

Podchód tradycyjnie rozpocząłem duktem od szosy. Łapałem się jednak na tym, że idę za szybko i jestem za mało ostrożny. Ponowa pozwalała dokładnie czytać życie lasu. Widać było, że po opadzie śniegu ruch jeszcze się nie zaczął. Może właśnie, dlatego posuwałem się dość szybko i jak najprędzej starałem się dojść do miejsca wczorajszego spotkania z grubym dzikiem. Gdy miałem do tego miejsca około trzystu metrów pozwoliłem sobie na ostatniego papierosa. Stałem oparty o drzewo i słuchałem lasu. Pomyślałem, że tak niewielu ludzi zaznaje takich wspaniałych chwil.

Rzucony w śnieg niedopałek jeszcze przez chwilę żarzył się i zgaś.

- Teraz dopiero zaczynam prawdziwy podchód – pomyślałem i ruszyłem ostrożnie do przodu.

Co kilkanaście kroków zatrzymywałem się i nasłuchiwałem. Była cisza i żadnych świeżych tropów, ale jakoś wewnętrznie byłem przekonany, że do spotkania z wczorajszym dzikiem dojdzie i że jest to tylko kwestia czasu. Dlatego cały czas byłem niezwykle czujny.

I w końcu nastąpił ten moment. Gdy do końca duktu i zarazem do ściany lasu miałem nie dalej jak pięćdziesiąt metrów przez linię przesunęła się sylwetka dzika. To był on. Nie poszedł, nie przetruchłał tylko przesunął się. Po prostu przesunął się jak na sankach. Sylwetkę już znałem – hiena.

Serce podeszło mi do gardła. Sprawdziłem czy broń mam odbezpieczoną. Wiedziałem, że nie mogę długo zwlekać, bo dzik jest w ruchu i może odejść głębiej w las i wtedy będzie problem. Podeszedłem kilkanaście kroków do przodu i wtedy zauważyłem go w całej okazałości. Buchtował pod wielkim dębem pomiędzy kilkoma małymi świerczkami, ale wyglądał tak jakby siedział na zadzie. Nie miałem jednak żadnej wątpliwości, że to dzik i to duży. Postanowiłem strzelać natychmiast jak tylko dobrze ustawi się i wychyli spod świerka zwłaszcza, że odległość był idealna – co najwyżej czterdzieści metrów. Po strzale, krótki szaleńczy bieg i nagle cisza zwiastowały pozytywny skutek tego strzału. Na śniegu, w wysokim drzewostanie szybko odnalazłem leżącego trzydzieści metrów od miejsca strzału odyńca. Gdy oświetliłem latarką jego sylwetkę moje zdziwienie było ogromne. Przód, przednie rapety i szable miał dzika stukilowego natomiast zad dwudziestokilowego warchlaka i pokryty nie długim zimowym włosiem a sierścią jak u kota. Gdy przyjrzałem się dokładnie moje zdziwienie było jeszcze większe. Oba tylne biegi odyńca były zgięte na stałe pod kątem prostym w łokciach a rapety zaokrąglone i wrosnięte w biegi. Na stawach łokciowych i na jądrach odyńca miał odciski wielkości dłoni. Po prostu cały sparaliżowany tył ciągnął przednimi biegami. Widać było, że w tym stanie żył i walczył o życie przez kilka lat. Byłem pełen podziwu dla tego zwierza za jego determinację. Zrobiło mi się nawet żal, że to już koniec pewnej leśnej epepei. Odyńca, który miał szable na brązowy medal, w punkcie skupu ważył zaledwie 48 kg. Na drugi dzień pojechałem do skupu jeszcze raz i zrobiłem zdjęcie tego niezwykłego zwierza. Bardzo chciałem uhonorować w jakiś sposób jego bohaterstwo i mam nadzieję, że tym wspomnieniem tak się właśnie stało. Zasłużył na to.

Z Januszem długo rozmawialiśmy na ten temat. Jak to mogło się stać, że z taką kontuzją dzik przeżył i dalej żył. Jedynym wytłumaczeniem mogło być potrącenie przez samochód lub pociąg.

